

ROMANŃ I POWIEŚĆ

Rok XIX

Warszawa, dnia 27 Sierpnia 1927 roku

Nr. 35

J. KESSEL i H. IZWOLSKA

33)

ŚLEPOTA WŁADCÓW

I Jerzy myślał: sumienie cara musiało być czyste, inaczej twarz nie byłaby tak jasną, a zachowanie tak swobodnem. Przyrzeczenie, które dał Ojcu Sokołowowi, dodawało napewno otuchy. Nie złamie słowa. Siłom nadprzyrodzonym oprze się rycerska szczerłość, która maluje się na całej twarzy władcy.

Dolin wpadał w stan radosnego odrętwienia. I znowu wielbił swojego cara, lecz nie tą miłością przesadną, podejrzliwą, którą skaził dzisiejszego poranka swoim sądem. Kochał go również serdecznie, i pomyślał, że Liza, widząc go takim, czułaby się szczęśliwą.

Wielka sala, do której goście przeszli po posiłku, tworzyła ze swojemi białemi murami i jasnymi meblami tło harmonizujące z nadziejami Jerzego.

Cesarz zgodnie z niezmienną etykietą Stawki rozmawiał kolejno z wszystkimi. Zaprosił kilka osób na wieczorną partję domina. Dolin zauważył, że wiele z nich wymawiało się pod pozorem służby, a właściwie byli znudzeni.

Gdy przyszła na Jerzego kolej zbliżenia się do władcy, cesarz rzekł:

— Widziałeś moich kozaków? Co za żołnierze! Prawda? Wracasz dzisiaj do Piotrogradu. Proszę przyjść do pałacu o szóstej. Powierzę ci moją odpowiedź.

Piękne spojrzenie cara stało się miłością, gdy dodał:

— Listy jej cesarskiej mości są promieniami mojej samotności.

V

PIOTR WIELKI MIAŁ SEN

Zgodnie z przyrzeczeniem danem wielkiemu Jałmużnikowi, Jerzy przed opuszczeniem Mohylewa zapalił świecę w polowej cerkwi i udał się do Ojca Sokołowa.

Bytność w cerkwi uspokoiła go. Jego wiara była mało skomplikowana, lecz mocna. Nie nawiedzało go nigdy powątpiewanie, ani też mistycyzm. Modlitwa była dla niego aktem pokrzepienia, podstawą porządku i monarchji. Czuł się po niej, jak po ćwiczeniu fizycznym, odmłodzony.

Wielki Jałmużnik mieszkał w małym drewnianym, dwupiętrowym domku, nieopodal pałacu. Dolina przyjął jakiś dziwny osobnik z olbrzymią szablą u boku, w nadmiernie wielkich okularach, którego potężny nos wydawał się przyprawiony.

— Makrobilidze, — przedstawił się — Jestem sekretarzem Ojca.

Następnie, biorąc Jerzego za ramię, jęknął:

— Kocham się, mój kapitanie, kocham się do szaleństwa. Straszne mam strapienie: moja najpiękniejsza zaczyna mi sprzyjać, a ja muszę odjechać.

Dolin, odsuwając sentymentalnego samochwałę, rzekł z uśmiechem:

— Pragnąłbym zobaczyć się z Ojcem.

Dumnym ruchem zatarasował Makrobilidze swoim ciałem drzwi, prowadzące do mieszkania.

— To niemożliwe, mój kapitanie — zawołał z przesadą, — wielki Jałmużnik nikogo nie przyjmuje.

— Ależ, drogi panie, dzisiaj rano Ojciec mnie prosił, ażebym go odwiedził. Niech mu pan powie, że przyszedłem.

— Wiele się zmieniło od dzisiejszego rana. Los doświadczył nas.

Chociaż Makrobilidze robił wrażenie śmiesznej figury, szczerłość jego zwróciła uwagę Jerzego.

Zapytał więc:

— Co się stało?

Unosząc w górę swoje nieskończone ramiona, Makrobilidze szepnął:

— Ojca Sokołowa wysyłają na Kaukaz.

— Śni pan? Powtarzam panu, że widziałem go dziś zrana.

— Tak, lecz w międzyczasie zjawił się adjutant jego cesarskiej mości, przyszedł z rozkazem zawiezienia cudownej ikony wojskom znajdującym się w Azji Mniejszej.

Poczem dodał z rozdzierającym westchnieniem:

— Nigdy nie miałem szczęścia w miłości.

Dolin nie uśmiechał się już. Więc tak, zniweczono ostatnią nadzieję. Cesarz, który obiecał wypędzić Rasputina, posyłał swojego spowiednika na wygnanie. Nie było żadnych wątpliwości. Zaludniano Kaukaz wyższymi urzędnikami, znajdującymi się w niełasce. Tam mieszkał wielki książę Mikołaj, dawny generalissimus, tam zesłano księcia Włodzimierza Orłowa, szefa cesarskiej kancelarii, i wielu, wielu innych. Ojciec Sokołow miał się połączyć z tymi, którzy przekleli fałszywego proroka. Jerzy nie wątpił, że to przeistoczenie woli cara nastąpiło na skutek wonnego listu wręzonego przez niego. On był od dawca niktzemnego rozkazu.

Wściekła rozpacz zawrzała w Dolinie. Ten słaby car, ten ślepy król, ten nadmiernie spokojny władca! Jakich klęsk jeszcze trzeba, ażeby wyrwać go z tych wahających się majaczeń!

— Co robi Ojciec? — zapytał nagle Jerzy.

— Modli się za niego.

Ruchem nieokreślonym Makrobilidze wskazał w stronę pałacu.

W korytarzu pociągu, jadącego do Piotrogradu, Jerzego potrafił oficer, którego poznał po okrutnych oczach i mongolskim typie. Był to kapitan Stalin. Człowiek ten budził w nim odrazę, a jednocześnie zainteresowanie. Jerzy nie uchylił się od rozmowy.

— No, cóż! — zapytał Stalin — smakował panu obiad?

Wybitnie złośliwy ton zranił Jerzego.

— Pomimo pańskich wysiłków — odpowiedział, — nie udało się panu ocenić, czy obiad był smaczny.

— Nie sądzi pan jednak, że pchała mnie tam służalczość.

— Nie wierzę też, że powodowała panem miłość cesarza.

— A zatem? — zapytał Stalin.

I obgryzając swoją rosyjską bródkę, śmiał się przykro.

— A zatem? — powtórzył — Co takiego?

Nagle twarz znieruchomiała, wąskie powieki przesłoniły na chwilę wschodnie źrenice. W stłumionym głosie zabrzmiało echo miłośniczo wypieszczonych rozmyślań.

— Co mnie tam pchało — rzekł, — pragnienie piękna, pożądanie ujrzenia widowiska, które nie ma sobie równego, a które niebawem będzie nam zabrane. Czy jest na świecie całość wspanialsza od tego dworu, wtedy nawet gdy przywdziewa ubiór polowy? Niech pan otwiera oczy, szeroko, niech pan podziwiał, póki pan może oddychać jeszcze.

„Praca, siła i jedność nieprzeliczonego narodu miała w ciągu wieków jeden jedyny cel: uczynić garstce ludzi życie najbardziej harmonijnym, jak sobie to można wyobrazić. Zrodziły się z tego zbyt piękne istoty.

„Niech pan pomyśli o naszych wielkich książętach! Naprzykład książę Hipolit. Młodzińczyk Apollo nie mógł posiadać więcej wdzięku. A inni! Co za profile, czoła, jaki chód! Olimpijczycy. Ten który ośmielił się uderzyć w tę rasę, będzie zmuszony wytępić wszystkich, ażeby dowieść narodowi, że jest śmiertelna. Bo carowie, jak panu wiadomo, nie umierają, jak inni ludzie. *Oni spoczywają w Bogu*. Od czasów Aleksandra I-go byli piękniejsi i mocniejsi od reszty ludzi. Mieli głosy, którym jest się posłusznym.

Stalin zniżył głos. Jerzy spostrzegł w jego błyszczących oczach pewność jasnowidzącego.

— On, ten obecny car — podjął na nowo — nie jest na tym samym poziomie. To też odpokutuje. Mówią to jego rysy... Jagnie ofiarne. Twarz niezapomniana, twarz nie wprowadzająca w błąd. Czuje to pan, jak ja, wojna przegrana. Wszyscy zginięcie.

— A pan? — nieomal że krzyknął Dolin.

Stalin roześmiał się szyderczo:

— Zabezpieczyłem się.

Podszedł bliżej do Jerzego i tuż przy nim szepnął:

— Nie wierzyłem w upiory, a wy wszyscy wierzycie w upiory. Przeniknąłem tajemnicę.

Mówił jak w malignie.

— Piotr Wielki miał sen. Ten sen trwa do tychczas. Piotr Wielki wyśnił Petersburg, ulice nadbrzeżne wykute w granicie, pałace, cesarzy i ich orszaki. Wola tego człowieka była tak wielka, że sen przetrwał, przeżył go dwieście lat. Lecz teraz sen się rozwiewa. Chwała cesarska blednie.

„Piotr Wielki śnił”.

Gruba świeca, umieszczona w latarce na korytarzu, rzucała niepewne światła na azjatycką twarz Stalina, na jego rzadką bródkę o płomiennych odcieniach, na usta zgorzkniałe z opuszczonymi wargami. Zapalił papierosa i zaciągnął się głęboko dymem. Można by rzec, że nic nie istniało dla niego na świecie poza ślimakami z dymu, o barwie popiołu, które śledził swym wzrokiem nieprzeniknionym i pałającym.

VI

URYWKI Z LISTÓW

Do cesarza, Główna Kwatera

Carskoje Sioło 13 grudnia 1916 r.

„Najdroższy aniele!

„Byliśmy wczoraj u Ani na obiedzie, razem z Naszym przyjacielem. Było nam tak dobrze. Błaga cię, żebyś był stanowczym, żebyś był panem... Dlaczego nie słuchać Naszego Przyjaciela?... Bóg nim kieruje. Przypomnij sobie, co jest przyczyną nienawiści, którą żywią względem mnie. To poucza, że należy być stanowczym i wzbudzać lęk. Bądź takim. Jesteś mężczyzną. Miej tylko więcej zaufania do Naszego Przyjaciela. On żyje tylko dla ciebie, dla Rosji.

„Musimy pozostawić Baby mocne cesarstwo. Przez wzgląd na niego, nie mamy prawa być słabymi.... Bądź silnym, jestem twoją podporą i nie ustępuję. Wiem, że On wie nas po dobrej drodze. Jeżeli nie z innych względów, to bodaj tylko przez miłość dla mnie i Baby nie przedsięwzięj nic ważnego, nie uprzedziwszy mnie o tem i nie porozumiawszy się o tem ze mną.

„Czyż pisałabym o tem do ciebie, gdybym nie wiedziała, jak bardzo jesteś chwiejny, że zmieniasz sposób myślenia i ile wysiłku mnie kosztuje zmuszanie ciebie do nieustępowania? Wiem, że tym listem mogę ci sprawić ból, martwi mnie to i niepokoi. Lecz jesteście mi zbyt drodzy, ty, Baby i Rosja...

„Co uczyniłeś dla Manuiłowa? Wszystko ci przygotowałam...

„Jakżebym chciała wlać moją wolę w twoje żyły. Święta Dziewica czuwa nad tobą, jest przy tobie, z tobą. Pamiętaj o cudzie i wizji Naszego Przyjaciela.

„Wybacz mi ten list, ale dzisiejszej nocy nie mogłam spać z niepokoju o ciebie. Nie miej przedemną tajemnic. Jestem stanowcza. Słuchaj mnie, to jest Naszego Przyjaciela. Zaufaj nam we wszystkim... Cierpię przez ciebie, jak przez ukochane dziecko, o sercu litościwym, któremu potrzebny jest kierunek, a które słucha złych doradców, podczas gdy człowiek zesłany przez Boga mówi, co czynić należy....

„Dusza moja i serce płoną ku tobie nieskończoną miłością, i wszystko, co ci piszę, wydaje mi się okrutne. Wybacz i zrozum mnie.

„Niech cię Bóg błogosławi, ochrania i ma w swojej pieczy. Całuję cię bez końca.

„Twoja wierna żona”.

(D. c. n.)

„PO NOCNEJ ROSIE“...

Pół roku przed wypadkiem, jaki opisujemy, dokonano w stolicy ohydnej zbrodni, która żywo wstrząsnęła uczuciami ogółu. Oto, w parafji X. zamordowano bogobojnego księdza Górę, który był prawdziwym dobroczyńcą i błogosławieństwem ludzi i którego świątobliwość słynęła szeroko.

Zbrodnię postrzeżono o 9-ej wieczorem. Mordercy dostali się przez otwarte okno, wychodzące na ogródek przy murze kościelnym. Ksiądz leżał wpoprzek kanapy, już bez życia, z trzema ranami od kul rewolwerowych w piersi i ze śladami razów na głowie od ciężkiego przycisku metalowego, który został porzucony przy kanapie. Ciało było jeszcze nieco ciepłe, stąd wniosek, że zbrodni dokonano najwyżej przed półgodziną, t. j. o pół do dziewiątej. W pewnej oddali od kanapy stał na stoliku niewielki aparat radiowy o dwu lampkach z głośnikiem, który leżał zrzucony na ziemię z przygiętą od góry blachą, lecz złączony sznurem z aparatem. Kiedy po zbrodni dostano się do księdza, przez głośnik ten leżący na ziemi donosiły się dźwięki muzyki koncertu wieczornego, nadawanego przez polskie radio. Szuflady biurka były pootwierane i powytrząsane; zbrodniarze szukali pieniędzy, których ksiądz nie miał lub, jeżeli je miał, to tylko w nieznacznej ilości.

Morderców nie wykryto, i ślad po nich zaginął w opinii, chociaż pamięć o księdzu Górze żywa była jeszcze w parafji.

Ślad po nich zaginął w opinii, lecz nie w umyśle ajenta policji tajnej, Szeluty.

Szeluta był stanowczo jednym z najgenialniejszych agentów - detektywów świata. Był to prawdziwy artysta, pełen intuicji w swym zawodzie. Jak w umyśle artysty gromadzą się wrażenia, jako materiał twórczy, który dopiero chwila szczęśliwa, jakiś ostateczny przyczynnik, sprowadza do zsyntetyzowanej i gotowej pełni obrazu, wyblaskującej nagle w duchu wizją samoistną, owym absolutnym i niezawodnym zjawem pierwszego natchnienia, tak i w umyśle Szeluty gromadziły się w poszczególnych grupach, niby tworzywo artystyczne, motywy nierozwikłanych dotychczas zbrodni, niewykrytych dotychczas sprawców. Umysł ten pracował ciągle, był, jak archiwum poglądowe zbrodni, lecz dopiero szczęśliwa jakaś okoliczność zewnętrzna, niezależna od tej pracy wewnętrznej, zapalała jakgdyby materiał poszczególny w umyśle Szeluty, i ze spłoneńcia nagłego tej substancji powstawało odrazu *widzenie* doskonałe i pełne samej chwili zbrodni, ze wszystkimi jej szczegółami. I wtedy już był pewien siebie, działał niezawodnie i dokonywał odkryć niezwykłych, obudzając podziw wszystkich władz policyjnych. Takim był artystą Szeluta!

Sprawa księdza Góry leżała mu szczególnie na sercu. Myślał o niej ciągle — drażniła jego ambicję detektywa.

Dla tych przyczynków zewnętrznych, Szeluta, gdy miał czas wolny, przebiegał się i, doskonale ucharakteryzowany bądź na robotnika, bądź na włóczęgę bezrobotnego, bądź na żebraka, nigdy nie poznany, włóczył się po mieście, odwiedzał podmiejskie knajpy i miejsca zebrania, nietyle śledząc i dociekając planowo, ile poddając się biernie owej przygodzie zewnętrznej.

Tak też było i dzisiaj, w dniu święta narodowego, gdy tłumy ludzi gromadziły się we wszystkich stronach miasta. Na placach i na balkonach poszczególnych instytucyj ogromne głośniki wyiewały w przestrzeń fale muzyki popularnej, nadawanej z powodu tego święta w *studjo* polskiego radja. W mieście było widno od płonącej suto elektryczności, gwarno i niefrasownie. Tłum zrzucił z siebie przymus dnia powszedniego, bawił się i obcował bez troski.

Szeluta, przebrany za podstarzałego staromiejskiego jegomościa, w wypłowiałym, lecz czystym surducie staroświeckim na przygarbionych plecach, z dużą chustką wzorzystą w rękawie, stał na ulicy opodal głośnika i w świetle jarzącym lamp czytał gazetę wieczorną.

Z głośnika popłynęły dźwięki pojedyncze trąbki, grającej najpopularniejszą pieśń liryczną polską: *Po nocnej rosie*...

Szeluta stał i słuchał tej rzewnej melodji, podziwiając jej tkliwość serdeczną, jej wylew tęskny i szczerzy, jakgdyby istotnie bratający się dźwiękami z rozłogiem polskich pól i łąk, oprószonych białą rosą wieczorną; godny, by podbić serce całej Polski.

Tuż za jego plecami stanęło dwóch drabów, wałęsających się śnać już po sutszem wypiciu. Ogarnął ich nieznacznie wprawem okiem i utonął cały z nosem w gazecie, nastroszywszy uszy. Trąbka się niosła swem najrzewniejszym napięciem.

— He... ty... słyszysz? Nocna rosa księżowska... — rzekł jeden z nich dość głośno.

— Słyszę... słyszę... mógłbyś ciszej... — odparł drugi niechętnie.

Po ciele Szeluty przebiegł dreszcz elektryczny od stóp do kończyn włosów. Jednocześnie, błyskawica w umyśle jednym rzutem odkryła mu całą sprawę starego mordu, dokonanego na księdzu Górze. Nie drgnął jednak, wglębiony w swą gazetę.

Drabi odeszli. Wtedy się odwrócił — tsrzęł ich pilnie, idąc za nimi w oddali, jeszcze przez kwadrans czasu, by zatarła się w nich pamięć ich wygłoszenia i by nie wiązała się w ich umyśle z następstwami, — zaczął, wskazał ich dwóm policjantom, kazał ich ująć i osadzić pod najściślejszą strażą.

Teraz Szeluta przystąpił do dzieła. Plan już miał cały gotowy: wyblysnął mu razem z tą *rzeczywistością* zbrodni. Działać należało szybko.

Tu dodać należy, że, w postępowaniu swem ze zbrodniarzami, całą ambicją, całą humanitarną stroną zawodu Szeluty było działać na moralną istotę przestępców, kruszyć w nich sumienie, odbudzać w nich godność człowieka. I w tem celował mistrzowsko.

Udał się bez zwłoki do urzędu śledczego i kazał przedstawić sobie głośnik, pozostały, jako dowód, po zamordowaniu księdza. Połączył go z aparatem w tymże urzędzie. Zbliżała się godzina dziesiąta. Koncert w *studjo* trwał jeszcze (Według programu, miał trwać dziś do 11-ej). Okazało się, że głośnik działa wybornie. Brawo! Zamknął aparat.

Po chwili, pomiędzy Szelutą i dyrektorem polskiego radja, nastąpiła wymiana telefoniczna tej treści:

— Hallo! Czy pan dyrektor polskiego radja?... Mówi urząd śledczy po-

licji... w ważnej bardzo sprawie... Pan dyrektor zechce mi powiedzieć, czy programy z ubiegłych dni i miesięcy są przechowywane w kancelarji polskiego radja?...

— Oczywiście. Są one w archiwum kancelarji.

— W takim razie, zechce mi pan dyrektor przedstawić program z przed pół roku, t. j. ściśle: z 20 marca bieżącego roku.

— Kazał go zaraz przynieść sekretarzowi...

.... Oto jest. Czy chodzi panu o cały program?

— Nie. Chodzi mi o część jego muzyczną...

— 20 marca; godzina 8: koncert muzyki polskiej; Nr. 1, Polonez z Hrabiny; Nr. 2, Bukiet melodyj polskich; Nr. 3, Mazur Lewandowskiego....

— Przepraszam... Czy w Bukiecie tym melodyj polskich — niema wypadkiem pieśni *O nocnej rosie* na solo trąbkę?...

— Jest... najzupełniej... Jest to ten sam Bukiet, który dziś graliśmy... i to samo w nim solo na trąbkę....

— Dziękuję panu dyrektorowi... Więcej mi nie trzeba.... Tylko jeszcze jedno.... Czy artysta, który grał dziś to solo, jest jeszcze w *studjo*?

— Oczywiście — jest on w orkiestrze, która gra dziś do 11-ej.

— Czy nie mógłby ów artysta odegrać dziś jeszcze tego *sola* o 12-ej w nocy w *studjo* przed mikrofonem?

— Jakto?

— Mogę zapewnić pana dyrektora, że chodzi tu o sprawę wielkiej wagi.... Wiem.... To poza programem.... Będzie tylko nasz urząd słyszał... lub chyba ktoś przygodnie, nie orientując się skąd... Chodzi, powtarzam, o rzecz wielkiej wagi... Wynagrodzenie artyście podwójne... potrójne... płaci nasz urząd... Lecz... dyskrecja....

— W takim razie... umówię się z tym artystą... Właśnie antrakt...

• • • • •
— Artysta jest gotów... spełni żądanie...

— Dziękuję panu dyrektorowi... Więc: punktualnie o 12-ej ma się rozleźć przed otwartym mikrofonem w sali *studjo* solo na trąbce — pieśń *Po nocnej rosie*... raz jeden tylko... Teraz, zechce mi tylko pan dyrektor powiedzieć dokładnie czas, bym nastawił swój zegarek.... Dziękuję panu dyrektorowi... liczę na niego w zupełności... Jutro się zgłoszę osobiście....

Na kwadrans przed dwunastą Szeluta zaprosił do urzędu śledczego szefa policji, sędziego śledczego i jeszcze paru wybitnych swych kolegów. Znając genialne posunięcia Szeluty, przyszli chętnie, ciekawi nowego popisu jego inscenizacji.

W pokoju był już założony aparat z głośnikiem, pozostałym po księdzu Górze, głośnik ten leżał na ziemi, połączony sznurem z aparatem.

Zasiedli przy stole.

Pięć minut przed dwunastą Szeluta kazał wprowadzić uwięzionych przed paru godzinami dwóch mężczyzn.

Rzekł im prosto z mostu — dobitnie i władnie:

— Dnia 20 marca o godzinie 8-ej minut 20 wieczorem przez otwarte w ogrodzie okno weszliście do mieszkania księdza Góry i zamordowaliście go. Podczas gdy mordowaliście, grała muzyka... która i dzisiaj jeszcze gra w tym samym głośniku... Czy znacie ją?...

I w tej samej chwili, jak na zaklęcie czarodziejskiej różdżki, popłynęły z

głośnika rzewne, przejmujące tony trąbki, grającej pieśń *Po nocnej rosie...*

Zbrodniarze zadrżeli. Twarze ich poczęły się mienić, jak ziemia błotna, po grudzie rozmiękła... Pospuszczali głowy — i muzyka ta przeciągła snąc była im męką nieznośną.

Gdy wreszcie tony przebrzmiały, Szeluta zwrócił się z rozkazem groźnym do tego, który zdawał się być bardziej poruszony:

— Teraz ty mów!...

— A co tu mówić dalej! Prawdziwie — muzyka ta tam grała — kiedyś strzelał do księdza — Kiedyśmy szukali w szufladach — grała, — więc straciłem tę rurę i przydeptałem ją butem — lecz ona ciągle grała. — Wtedy ksiądz, który żył jeszcze — choć my się nie spodziewaliśmy — powiedział:

„Bóg i ta pieśń pociągnie was przed sąd”. Wtedy on kawałem metalu dokończył księdza.

— Łesz! — zawołał drugi! — Ty go dokończyłeś!

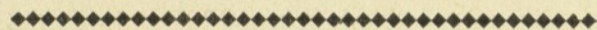
Ale on już nie przeczył. Spuścił głowę i rzekł:

— Tak też się i stało — akuratnie, — jak powiedział ksiądz... Wyrok boski!...

— Dostyc na dzisiaj! — rzekł Szeluta: — Nałożyć im kajdanki na ręce i odwieźć do więzienia!

Obecni spojrzeli z podziwem na znakomitego artystę - detektywa.

Szeluta poszedł dnia tego spać z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku zawodowego.



Notatki literackie

BIBLIOTEKA SŁOWIAŃSKA:

„G O Ś Ć W D O M U”

Jerzy Wolker w ojczyźnie swojej Czechach uchodzi za jedną z gwiazd najmłodszej poezji. Szczególnie „balladę o oczach pałacza” uważa się za wiersz programowy nowej sztuki poetyckiej czeskiej. Utwór ten bowiem, jako wyraz komunistycznego na świat poglądu, tak treścią, jak i formą odpowiada tendencjom młodzieży literackiej czeskiej. Należy jednak podkreślić, iż komunizm J. Wolкера nie ma nic wspólnego z rosyjską psychologią o tego rodzaju nastawieniu artystycznym. Sztuka J. Wolкера rodzi się z współczucia dla krzywdy ludzkiej. Przepoił ją poeta sentymentem. Nuty walki, złorzeczenia, przekleństwa nie mieszczą się na jego lirze o strunach miłości, pojednania, kontemplacji.

Młodzieńczości J. Wolкера trzeba przypisać, że znalazł się w obozie przewrotu społecznego. Zmarł on w 24 roku życia. Wydał zaledwie dwa zbiory wierszy: „Gość w domu” i „Ciężka godzina”. Obecnie dzięki pp. K. i St. Albertim ukazał się w polskim przekładzie tom „Gość w domu”.

Publikacja tych utworów J. Wolкера daje możliwość bliższego zaznajomienia się z jego światem wzruszeń. Oryginał czeski nie jest dostępny dla wszystkich. Różnice językowe wytwarzają również trudności, przeszkadzające estetycznej kontemplacji. Przekład p. Alberti jest wierny, ale nie zawsze jednakowo ekspresyjny. Proste, serdeczne słowo J. Wolкера wymaga transpozycji wzruszeniowo emocjonującej. Niełatwa to rzecz. Tłumaczenie jakościowo wartościowe jest w tym dziele poezji prawie nieosiągalne. Poznaje-

my więc drogi i drożynki poetyckich lotów J. Wolкера, nie zawsze wzruszamy się: słowo tłumaczenia daje ekwiwalent treści, ale nie stwarza w nas nastroju. Warto jednak poznać świat wzruszeń J. Wolкера i w transpozycji polskiej. Zbliża nas to do źródeł emocji, które uskrzydla młodą psychikę czeską.

K. CAPKA „BOŻA MĘKA” I WŁADYSŁAWA VANCURA: „PIEKARZ JAN MARHOUL”

Młoda beletrystyka czeska ma u nas wielu zwolenników. Kto z przyjemnością nie czytał powieści K. Capka p. t. „Krakatit”? Dobrze więc uczynił p. St. Alberti, że dał w swoim przekładzie dwie wybitne książki beletrystyczne młodych czeskich pisarzy: K. Capka: „Boża Męka” i Wł. Vancura: „Piekarz Jan Marhoul”. Capka znamy z jego sztuk teatralnych. Jest to umysł śmiały, talent mocny, nie lękający się trudności. Jego „Boża Męka” potwierdza wysokie wartości „Robott’ów” czy też „Życia owadów”. Odsłania jednak inną stronę jego psychiki. Z książki tej poznajemy Capka kontemplatora. Jak pięknie odtwarza on pejzaż, jak wżywa się w dusze przepełnione rozterką. Jest to nowość dla polskiego czytelnika. K. Capek imponował bowiem energią swoich pomysłów i dynamiką perypetji. „Boża Męka” utkana jest z mgieł porannych, z zadum i tęsknot.

Twórczości Władysława Vancury dotychczas nie znaliśmy. Według opinii tłumacza, ma on być „najoryginalniejszym talentem wśród młodej, czeskiej generacji prozaików”. Obecnie wydana jego powieść p. t. „Piekarz Jan Marhoul” przynosi poza nieznanym nam środowiskiem i figurę tytułową dosyć egzotyczną. „Piekarz Jan Marhoul” jest niedołęgą i żadna filozofja nie poradzi na ten defekt psychiki. Życie jego nie obfituje w jakieś niezwykłe wydarzenia. Jest to przeciętny obraz życia robotniczego, smętnego, tragicznego przez nierealność ustosunkowania się do rzeczywistości Jana Marhoula. Wierzymy autorowi, iż jest on sympatyczny. Jesteśmy pod wrażeniem, iż Wł. Vancura otacza opieką tego piekarza. Nie dziwimy się jednak żalostnemu końcowi jego życia.

Powieść Wł. Vancury pisana jest z wyraźną sympatją dla klasy robotniczej, co należy zapisać na konto prądów społecznych, nurtujących obecnie wśród młodej czeskiej literatury. „Piekarz Jan Marhoul” nie jest jednak reprezentatywną figurą życia robotniczego w Czechach. Przypuszczać należy, iż w samej Pradze znajdzie się wielu robotników o znacznie mocniejszej strukturze woli, myśli i działania.

Przekłady p. St. Alberti są dobre.

„Chwyty rosyjskie”

Zainteresowanie literaturą rosyjską trwa u nas, choć, chwała Bogu, jesteśmy rozdzieleni granicami. Najnowsza beletrystyka i poezja ciekawi snadź naszą publiczność, bo otrzymaliśmy: tom nowel „Ludzie Jaskiniowi”, wybór z utworów Zamiatina, Babela, Sejfulinowej, Tołstoja, Jakowlewa, Pilniaka i Zoszczenki; tom feljetonów „O tem, jak Siemion Siemionowicz zakochał się w arystokratce” również Zoszczenki; słynny zbiór Erenburgowskich „13 fajek” oraz „Poezje” Majakowskiego.

Wszyscy pisarze ci są zwolennikami bolszewizmu. Nawet A. Tołstoj musi być

zaliczony do tej kategorii: jego „Cuchnący szatan” sprawia wrażenie, że był pisany w myśl wskazań „Bezbożnika”. Ideologje, sądy moralne, ujęcia estetyczne rzeczywistości artystycznej w beletrystyce tej nowej generacji pisarzy rosyjskich nie dotyczą pozytywnych, programowych stron bolszewizmu. Beletrysta rosyjski woli pokazywać wszystkie ujemne, złe, odpychające strony życia współczesnego. Z tej racji utwory te są świetną kontrpropagandą: przeczą one bolszewizmowi lepiej, niż wszystkie kazania publicystyczne. Wystarczy przeczytać pierwszy lepszy feljeton Zoszczenki, by się przekonać, jak zchamiało, zdziczało życie obyczajowe rosyjskie. Jest to owoc tego szczęścia, jakie zasiał komunizm. Chamstwo to niezawsze jest odpychające. Gdy mówi o nim Sejfulina w opowiadaniu pod tytułem „Najście”, budzi nawet współczucie: tak nieświadomi są ludzie swojej „jaskiniowości” w tej powiastce!

Język towarzyski terażniejszej Rosji, jeżeli wierzyć tym beletrystom, spadł na poziom dawnych szynkowni. Nawet w wierszu słownictwo to zyskało prawo obywatelstwa. Czyż to są „nowe wzruszenia”? Naturalizm był o wiele wstydlivszy w doborze środków! P. Włodzimierz Majakowski w słowie wstępnym do polskiego czytelnika z grandezą kremlo-wskiego bosiaka informuje:

„Żal mi Europy.

Nie znać wierszy Asiejewa, Pasternaka, Kamienskawo, Kirsanowa, Świetłowa, Tretjakowa, Silwinskawo — jest ogromnym brakiem.”

Wiadomość ta nie wytrąca jednak z równowagi nas, Europejczyków. Znamy okresy barbarzyństwa w literaturze i wiemy, że... przechodzą. Słowo mocne, ordynarne, gwarowe wcale nie kryje w sobie tajemnic utajonej energii ducha. Wiersze p. Majakowskiego i jego „Obłok w spodniach” dla Europy będą dowodem... obniżenia istotnej kultury estetycznej.

W zespole autorów rosyjskich, przyswajanych mowie naszej, niebezpieczeństwo propagandowe do pewnego stopnia przynosi Ilja Erenburg. Otarł się on o Paryż. Jego wizje artystyczne posiadają niekiedy sugestje niesprawiedliwości społecznej. Gdyby przełożono jego powieść „Rwacza” — byłby to najbardziej odstręczający obraz życia rosyjskiego współczesnego. Nasi tłumacze wolą jego pisma o charakterze krytykującym, nicującym obyczajowość, psychikę, prawo społeczeństwa mieszczańskiego. I on nie cofa się przed „mocnym” słowem, przed scenką zbyt naturalistyczną, przed podchwyceniem „zwierzęcia” w człowieku. Robi to jednak... celowo, by zohydzić „moralność” giełdjarzy, rządzących dziś światem.

Obecnie w polskim przekładzie ukazał się znany tom jego opowiadań p. t. „13 fajek”. Jest to najbardziej opracowany zbiór jego nowel. Łączy je mechanicznie „fajka”, ale „nienawiść” społeczna jest właściwym ożywiającym uczuciem tych opowiadań. Szczególnie nowela Nr. 2 o maleńkim Pawle Roux, ginącym w walce z białymi, sugeruje krzywdę społeczną i podpowiada uczucia nienawiści. Erenburg tendencyjnie opowiedział w fabule o Pawle Roux dzieje komuny paryskiej.

Chwyty jego literackie wyróżniają się jednak pewnym poziomem. Nie można tego powiedzieć o innych. Czyż naturalizm, obcesowość wyrażań, brak ujęcia estetycznego mogą być ciekawe dla czytelnika o jakim takim smaku literackim?